Bezpłatny dodatek do Nr 258 „Głosu Narodu"

TYDZIEŃ KULTURALNO-LITERACKI

Nr 25 Kraków, niedziela, dnia 20 września 1936 r.

IRENA TUROWSKA

W hiszpańskim Marokko

Tak się złożyło, że na tydzień przed wybuchem hiszpańskiej rewolucji, polski okręt „Kościuszko" zatrzymał się w Tangerze. Ani z bliska, ani z daleka nie wyglądało to międzynarodowe miasto tak groźnie, jak ufortyfikowany Gibraltar na europejskim, a Ceuta na afrykańskim brzegu.

WIEŻA BABEL — TANGERU

Do portu trzeba płynąć łodziami, lub motorówką z powodu podwodnych skał i zaraz na brzegu opada turystę stado Arabów-przewodników głośno wrzeszczących we wszystkich językach. Jeden proponuje objazd miasta na ośle, inny wskazuje na dobrze wysłużonego forda i za dwa dolary obiecuje podróż do Tetuanu. Ten ciągnie za rękę, tamten za połę płaszcza, tak że trzeba się bronić przed tą natarczywością poprostu pięściami i zatykając uszy umykać jak najprędzej aleją palm daktylowych w stronę ogromnej, złotawym piaskiem zasypanej plaży.

Patrząc na łagodne fale morza, na kąpielowe budynki i nadbrzeżne ukwiecone wille trudno sobie uprzytomnić, że Tanger to przecież ważny punkt strategiczny, o który zabiegali Hiszpanie, Francuzi, Anglicy, a także Włosi.

Wreszcie paryskimi traktatami z 1922, 1923 i 1928 roku uregulowano sprawę miasta, stwarzając nienormalny twór polityczny rządzony na zasadzie Statutu Tangerskiego przez Zgromadzenie Ustawodawcze, w skład którego wchodzą komisje złożone z 18 tubylców, wśród których 9 jest muzułmanów, a 9 mojżeszowego wyznania. Poza tym czterech przedstawicieli daje Hiszpania, Francja, Anglia i Włochy, a po jednym Belgia, Holandia, Portugalia i Stany Zjednoczone, zaś nominalnie administracyjnym zwierzchnikiem wolnego miasta i potru jest sułtan marokkański.

Ten międzynarodowy charakter miasta rzuca się od razu w oczy i uszy. Na ulicy istna wieża Babel. Co parę kroków, jak u nas kioski z gazetami, tam kantory wymiany pieniędzy, w sąsiednich uliczkach są cztery poczty: hiszpańska, gdzie znaczki listowe kupuje się za pesety, włoska — za liry, angielska — za penny, no i francuska, gdzie korespondencję opłaca się oczywiście we frankach.

Tylko kupcy arabscy bez wahania przyjmują każdą monetę i muszą na tem robić doskonałe interesy.

„Kościuszkowcy" odwiedzają przede wszystkim arabskie kramy, ciemne, zawalone towarami pod sufit. Najbardziej nęcą kolorowe pufy, t. j. niskie taborety z kolorowej skóry haftowane srebrem i złotem, po trzy, po dwa i nawet po dolarze za sztukę.

Dalej miękkie pantofle safianowe i torebki wielbłądzie z wytłaczanymi arabskimi motywami, jakieś paski, stosy amuletów z wisiorkami w kształcie ręki zwanych fatme, garnki z białej glinki z oryginalnymi motywami z napisami arabskimi.

Trzeba oczy zamykać, żeby oprzeć się chęci kupienia wszystkiego na raz, całego arabskiego sklepiku; to też w samą porę zjawia się szofer, który jedzie do Tetuanu.

W DRODZE DO TETUANU

Nie jest to wcale łatwa wyprawa, jak świadczy zaraz przy miejskiej rogatce, a zarazem granicy wolnego miasta sznur zatrzymanych aut, czekających na załatwienie formalności paszportowych przy wjeździe na teren hiszpańskiego Marokka.

Hiszpańscy żandarmi czy celnicy w ciemno szarych mundurach i dziwacznych kepi, zaglądają podejrzliwie do samochodów. Przy okienku małej, nędznej budy byle jak skleconej z desek szoferzy w ogonku załatwiają formalności paszportowe.

Wreszcie i nasz „don Carlos" zdobywa cenną przepustkę, na której jest wyszczególniona data i godzina naszego wyjazdu, numer auta, ilość osób i narodowość. Nareszcie ruszamy, ale jeszcze dwa razy w drodze kontrolują nasz stan personalny placówki policyjne.

Białe murowańce wojskowych placówek stanowią zresztą jedyne osiedla w tym dzikim, pustym kraju.

Bezludzia i ugory ciągną się tu kilometrami, szeroka trawa na polach nigdy nieoranych, albo karłowata palma — to jedyna roślinność, oprócz oleandrów i paproci nad brzegami wyschniętych o tej porze strumieni.

Krajobraz pozostał taki sam, jaki w 1791 roku oglądał nasz zapomniany orientalista Jan Potocki, który w zajmującej książeczce „Voyage dans l'Empire de Maroc" opisał swe marokkańskie przygody. Podróżujemy jego śladami, lecz daleko wygodniej, a przede wszystkim szybciej.

Droga pnie się coraz to bardziej serpentynami w górę wśród poszarpanych skał Niskiego Atlasu zwanego także górami Rifu.

W tych niedostępnych skalistych wąwozach, wśród szczytów dochodzących do 2.500 m, bronili się zaciekle przed europejską cywilizacją wojowniczy górale z plemienia Berberów zwani Rifenami i dopiero w 1926 r. ulegli przemocy wojsk hiszpańskich i francuskich uznając zwierzchnictwo Hiszpanii. Jednak dotąd jeszcze widać na ich dumnych twarzach piętno wolnego narodu, który nie przywykł uginać karku.

Brudni i biedni, okutani w burnusy bronzowe i szare, w białych turbanach na głowach, podróżują w dawny „biblijny" sposób na osiołkach, wydeptanymi z dawien dawna ścieżkami obok nowych asfaltowych szos, po których mkną auta zwycięzców.

NA RYNKU W TETUANIE

Przedmieścia Tetuanu już są zabudowane po europejsku. Zaraz na wstępie do miasta mamy czworobok koszar, boiska, strzelnice, dalej kilka willi wśród róż, jakiś kościół i koniec ulic szerokich prostych. Wschodni, arabski Tetuan pełen niespodziewanych zakamarków, biegnie pod zasłoną z pnączy zielonych, rozpiętych jak baldachim to w górę, to w dół dzielnicami zamieszkałymi przez kowali, garncarzy i farbiarzy, którzy w ogromnych kotłach gotują przędzę z owczej wełny aż nabierze czerwonych, błękitnych, to żółtych kolorów. Zakwefione czarczafami Arabki przesuwają się, jak białe widma, Rifenki-góralki w ogromnych kapeluszach, z twarzami przysłoniętymi do połowy, Arabowie prowadzący ośle karawany objuczone towarami, murzyni w czerwonych fezach — oto mieszkańcy Tetuanu.

W cieniu daktylowej palmy, jak pod olbrzymim parasolem, zasiadł arabski opowiadacz bajek, otoczony półkolem słuchaczy w białych i bronzowych burnusach; siedzą na ziemi skrzyżowawszy przed sobą nogi i z natężeniem wpatrują się w gestykulującego żywo gawędziarza, który snuje historię o jakimś bohaterskim sułtanie, czy rozbójniku.

Opodal mniejsza grupka Arabów i Arabiątek przygląda się sztukom zaklinacza wężów o twarzy dostojnego patriarchy, z długimi na ramiona spadającymi włosami.

Zaklinacz wyjmuje ze skórzanego worka blisko metrowej długości węża. Gad zwija się mu w ręku, w takt dzikiej muzyki na bębnie i piszczałce, a zaklinacz bez trwogi zbliża ohydny, spłaszczony łeb do swej twarzy, do ust, wąż błyska wściekły małymi okrągłymi ślepkami, ukazuje białe, ostre zęby, wysuwa język, pręży giętkie ciało i zastyga w bezruchu zdrętwiały, zaklinacz kładzie go na ziemi i zlekka nadeptuje nogą, gad znowu podnosi szyję, za nim jednak dosięgnął gołej nogi obutej w safianowy płytki pantofel znalazł się z powrotem w worku. Przedstawienie skończone, zaklinacz bierze bęben od jednego z grajków i zbiera hiszpańskie pesety i wytarte maleńkie srebrne pieniążki arabskie wielkości naszych dwugroszówek. Publiczność się rozchodzi, ale niedaleko, bo przeważnie do kawiarni ulicznej, w której można się napić aromatycznej miętą, czy innymi wonnymi ziołami przyprawionej herbaty, albo kawy czarnej gęstej od fusów i bardzo słodkiej.

W KAWIARNI I NA ULICY.

Arab mieszkaniec miasta połowę życia spędza w kawiarni siedząc na niskich pufach haftowanych złotem, bo wierzy święcie, że wszystko co się dzieje na świecie to z góry przewidział los. „Allach tak chce", więc po co się śpieszyć; tego co zapisane nikt i nic nie przekreśli. Pół drzemiąc ze stoicką cierpliwością może też wyczekiwać Arab, zanim pisarz z biura podań przetłumaczy mu jakieś pismo do urzędu po hiszpańsku, ożywia się tylko w małym swym sklepiku, prawi mnóstwo komplementów seniorcie kupującej banany i daktyle i zawistnym okiem patrzy na konkurenta żyda w sąsiednim kramie.

W stosunku do żydów nawet malcy arabscy przyjmują zdecydowanie pogardliwą i wrogą postawę. Gromadka dzieciaków chwyta cukierki, które rzucamy im z auta na odjezdnym z Tetuanu, a jeden umorusany chłopak stoi na uboczu, nie śmie się zbliżyć. „C'est un juif!" To żyd! — wołają Arabiątka dopadając chłopaka, który nie wytrzymał i chciał podnieść karmelek.

Przewodnik bardzo niechętnie oprowadza po żydowskiej dzielnicy Tetuanu, która — trzeba przyznać — od arabskiej jest znacznie czystsza, chociaż i tutaj prześladuje nas dziwna woń śmietników zmieszana z aromatem ambry i drzewa sandałowego, charakterystyczna woń kasby, niechlujstwa, ubóstwa i perfum. Uliczki są również wąskie i kręte, domy ze ślepymi ścianami bez okien jedne do drugich podobne, na płaskich dachach, jak na tarasach schnie bielizna i wygrzewają się wspaniałe angorskie koty.

MAROKKAŃSKI ŻOŁNIERZ.

Nawet przed pałacem sułtana Marokka i przed meczetami wygrzewają się te szare stworzenia nic sobie najwyraźniej nie robiąc z poważnie kroczącego gwardzisty przybranego w malowniczy biały płaszcz i biały turban, a uzbrojonego w długą dzidę.

Wojownik podejrzliwym spojrzeniem obrzuca nasze sylwetki, ponura ciemna twarz, jakby ją odlano w bronzie, tajemnicza i groźna, nieprzenikniona twarz egzotycznego sfinksa.

Za chwilę następuje zmiana warty, pada hiszpańska komenda, hiszpański oficer prowadzi żołnierzy tubylców, wystrojonych, jak na scenę w te powłóczyste szaty, w których poruszają się jednak lekko i zwinnie a my patrzymy na nich, jak na aktorów sztuki, której treść wypisuje Wojna.



BRONISŁAWA KUMANIECKA

Z cyklu: „Śpiew muezzinów"

Modlitwa nomadów

Rzesza Arabów zewsząd się gromadzi,
Na ziemi klęka... modlą się nomadzi...

Twarze ku niebu zwróciwszy spalone,
Ręce w Wielkiego Wschodu wznoszą stronę.

To znów do ziemi przypadając czołem:
„O Allah akbar!" powtarzają społem.

— — — — — — — — —

Tym czasem słońce traci równowagę,
Spada i zrywa purpurową flagę.

Odsłania wielką przestrzeń cytrynową,
Która w ametyst przechodząc stopniowo

W wstęgi się ściele. - Wśród nich tajemniczy
Latarnik nieba swój inwentarz liczy:

W miarę, jak mrący blask dnia się oddala,
Jedną po drugiej... świece gwiazd zapala.

— — — — — — — — —

A tłum Arabów zewsząd się gromadzi,
Na ziemi klęka... modlą się nomadzi...

Z korespondencji Cypriana Norwida

LISTY DO BRONISŁAWA ZALESKIEGO, I.

Do druku podał Stanisław Pigoń.

Wśród emigracji paryskiej po r. 1863 Bronisław Zaleski należał niewątpliwie do jednostek czołowych. Przyjechał do Paryża bodajże jeszcze 1860 r., a miał już za sobą drogę życia długą, górną i chmurną. Urodzony 1819 r. w Słuczczyźnie, studiował prawo w uniwersytecie dorpackim. Za konarszczyzny uwięziony, skazany został na dwa lata zesłania. W r. 1847 (w związku ze spiskiem Roehra) uwięziony ponownie, przebywał dłuższy czas w więzieniu wileńskim, potem wysłany do katorgi i oddany w sołdaty w Orenburgu; na wyprawach do Chiwy i Turkiestanu dosłużył się stopnia oficerskiego. Dopiero 1855 roku objęty amnestią, wrócił do ojczyzny. Brał następnie żywy udział w przygotowaniu sprawy uwłaszczenia jako członek Komitetu włościańskiego gub. mińskiej i delegat do petersburskiej Komisji redakcyjnej.

Na emigracji nie przerywał działalności politycznej, współpracując n. p. w organizowaniu pomocy dla powstania styczniowego. Całą duszą jednak i już nierozerwalnie oddał się pracy naukowej i pisarskiej. Został członkiem Towarzystwa Histor.-Literackiego, dyrektorem jego Biblioteki, redaktorem zorganizowanego przez siebie wydawnictwa „Roczniki Tow. Hist.-Liter." (1866—1878, sześć tomów). Tam pomieszczał najcenniejsze swe prace historyczne, tam też, w bezimiennych przeważnie wspomnieniach o zmarłych emigrantach, ukazał swą przyrodzoną, iście anhelliczną, „miłość do ludzi i litość".

Był to człowiek serafickiej prostoty i dobroci. W nekrologach jego (zm. 1880) tę właśnie wartość charakteru i serca zgodnie wysuwano na pierwszy plan. „Kto zbliżył się do niego — pisał np. Kalinka — odrazu był ujęty niewypowiedzianym urokiem jego słodyczy, prostoty, uderzony gorącą miłością wszystkiego, co dobre i piękne, niezrównaną szlachetnością, gotowością do ofiar... Był to typ Polaka pokutującego, uwydatniony życiem, próbami, wewnętrznem usposobieniem,... była to jakby jakaś szczytna strofa Krasińskiego, zamieniona w czyn i nie wiedząca nic zgoła o swojej piękności... Potrzebaż dodawać, że był głęboko religijny?..."

Z takim człowiekiem zetknął się i zaprzyjaźnił C. Norwid. Nie wiemy dokładnie, kiedy się ta znajomość zawiązała: pierwsze listy Norwida do Br. Zaleskiego pochodzą z r. 1866. Odtąd aż do śmierci Zaleskiego ciągnie się prawie nieprzerwanie obfita stosunkowo korespondencja. Znamy ją, niestety, z jednej tylko strony, bo listy Zaleskiego do Norwida się nie dochowały. Ale i to, co się zachowało, ujawnia dostatecznie wyraźnie wymiary tej przyjaźni. Poza wartościami duchowymi łącznikiem między przyjaciółmi była także sztuka. Br. Zaleski był artystą; dwa wydane albumy jego akwafort wyrobiły mu znaczne nazwisko w świecie sztuki.

Droga wszelako tej przyjaźni nie była prosta ni łatwa. Norwid, z natury pobudliwy i zmienny, w stosunkach osobistych drażliwy, im dalej w lata tym bardziej gorzkniał, rozżalony do ludzi za nieuznanie do życia za ułomność (głuchotę), za niedostatek, nierzadko ostateczny, choć wyniośle maskowany wielkopańską dumą: nie dziw, że w pożyciu nie był bynajmniej łatwy. Trzeba było nielada wyrozumiałości, życzliwej dobroci, by umieć załagodzić zadrażnienia; nielada delikatności, by umieć przyjść przyjacielowi z pomocą bez urażenia godności. Ale to też o Zaleskim właśnie zapisał inny ze współczesnych, że „goił wszystkie rany, wyciągał jad z serc najbardziej zgorzkniałych, koił wewnętrzne burze".

Na oko mogło się nawet wydawać, że w tym stosunku Zaleski jest stroną tyranizowaną, nadużywaną. Byli „życzliwi", których to gniewało, i którzy z tego stanowiska nie skąpili rad.

„Niepodobna jest tobie — pisał L. Rettel do Zaleskiego w 1875 r. — przeciągać stosunek twój z Norwidem w tym stanie, w jakim jest dzisiaj. Niech on wie, że ci nie imponuje ani rozumem swoim, ani dowcipem. Byłoby grzechem, gdybyś mu nad sobą górować pozwolił dłużej. Niech wie, że w przekonaniu twoim duch, choćby najwyższy, ale bez karbu, krzyża i drogi — jest niczym dla ciebie... Bóg ci da to, że mu powiesz jaką prawdę, której zły duch, tyranizujący duszę jego, nie zniesie i pójdzie sobie, a może być, że i jego opuści"...

Takie jednakże czy tym podobne życzliwe dorady nie zmieniły nic w tym stosunku. Przetrwał on, bez wahań bodajże, aż do śmierci Zaleskiego, a nawet poza śmierć; Norwid już po pogrzebie zabiegał, by pamięć przyjaciela jako artysty przekazać czasom przyszłym.

Listy Norwida mówią o tej przyjaźni wiele. To jedna ich wartość. Ale mówią też wiele o działalności literacko-artystycznej samego Norwida, przynoszą sądy jego o ludziach i ideach, o sztuce, o poezji własnej i cudzej, odsłaniając nam wcale szeroko psychikę poety z ostatniego okresu życia. To ich wartość dalsza i główna.

Listów tych lwia część zachowała się w archiwum domowym XX. Czartoryskich w Krakowie; stamtąd pochodzą wszystkie poniżej ogłoszone. Coś nie coś dostało się ich i do zbiorów innych. Kilka przygodnie napotkanych ogłosiłem był w książce: C. Norwid, „Słowo i litera — Garść listów" (Warszawa 1936).

1. (Paryż, listopad 1866.)

Miły Bronisławie!

1) Czytam o Orenburgu. Wielce cenię Twoje prace wogóle, poważam miarę i pokój w pisanych, talent i virtus w artystycznych cenić umiem. Ale zrobię Ci uwagę, że mówiłem był Karolowi (przed powstaniem syberyjskim), i mówiłem, i mawiałem, iż od lat parę należało było złożyć towarzystwo en permanence Syberyjskie, gdzieby od morza Białego do Czarnego dośrodkowały się wszystkie pojedyncze wycierpienia i zdobycze, tworząc nieustanną całość ciągłych roczników, jak Geograficzne towarzystwo. Ojczyzna robotę takową (lubo in partibus infidelium) uważać powinna jak departament kolonizacji lub coś podobnego, — i departament i komitet i towarzystwo i klub takowy istnieć i funkcjonować z dawien powinien.

2) Zręczność u ludzi zacnych jest arcymiłym przymiotem i uważam za arcyzręczne to, co mi o braku Lelewela nekrologu odpowiedzieć miałeś pozór. Ale na to jest monumentalnie piękny środek, to jest napisać tylko tyle — monumentalnym drukiem:

JOACHIM LELEWEL

Ur. ——— Zmarł ———

I jeśli już tak uważacie na równi dojrzalszego odeń obywatela a niesłychanie mniej, i miernie wystarczającego pisarza, to toż samo zrobić i z ś. p. ks. Adamem Czartoryskim:

ADAM X. CZARTORYSKI

Ur. ——— Zmarł ———

Każdy się domyśli monumentalności napisu i poszuka indziej szczegółów, które go obchodzą.

Język lapidarny ma do siebie sobie właściwe figury i miary. Ależ pochować w g r o b i e k o m u n a l n y m takiego uczonego pracownika, ugościć go pierwej w s z p i t a l u i nie zostawić mu n e k r o l o g u!! A niech wszyscy diabli wezmą takie i tak się poważające społeczeństwo!

Mnie Lelewel nie był sympatyczny, ale jeśli Aleksander Macedoński zrównał z ziemią Teby, zostawując tylko dom Pindara, to ja zrównałbym z ziemią Brukselę i Quai d' Orléans, zostawując estaminet de Varsovie.., Przynajmniej umierając, powiedziałbym sobie: „liber et ingenuus sum"...

Cyprjan Norwid.

Ja wiem, że Doktor medycyny powie, iż szpitale są dobrze urządzone, przekadzone i porządne, ale widzisz: w porządnym społeczeństwie to k a ż d y s t a r z e c tak powinien być podjęty... Ale to nie wszystko. Ten starzec był i Lelewelem także!

Cudzoziemcy kiedyś zapytają o to — was — nie mnie. Vale!

C. N.

3. Ale u nas: 1) szpital, 2) fosse commune, i 3) portret malowany przez protegowanego miniaturzystę, — jakbyśmy byli l o k a j e i u m a r l i!...

List bez adresu i stempla, wcześniejszy jednak od nr 2. Treść jego wiąże się z wydanym właśnie tomem „Rocznika Tow. Hist.-Liter." za r. 1866. Zaleski ogłosił tam rozprawę pt. „Wygnańcy polscy w Orenburgu". Wśród nekrologów jest tam również krótki życiorys Lelewela (zm. 29. V. 1861). Wspomniany Karol to Sienkiewicz, historyk i publicysta.

2. (Paryż, 10 listopada 1866.)

Dziękuję Ci bardzo za przyjęcie uwag, dotyczących monumentalnego stylu. Wiedz zarazem, o czym nigdy nie wiedzą, nie mogą lub nie chcą wiedzieć:

1. Ś. p. Lelewel pokazywał mi listy ministra rosyjskiego imp. Okuniewa, który w kwestjach sławiańsko-historycznych pisywał do niego. To było za panowania Mikołaja I, — albowiem umysły tej wyżyny urągają drobnym czasowościom.

2. Lat temu parę młody książę Paskiewicz Erywański, przechodząc w Paryżu przez rue de la Paix i widząc fotograf Lelewela w sklepie (fotograf z rysunku Gumińskiego: L e l e w e l w b l u z i e), weszedł i takowy kupił dla siebie i swoich.

3. Może być wypadek, że Czech, Serb, Czarnogorec, Rusin lub minister oświecenia z Petersburga, przybywszy do Paryża, zapyta o grób Lelewela... To być bardzo może. A wtedy zapewne odeślą go do panflecików i komitecików heroicznych oficerów, kiedy tacy ludzie są gdzieindziej i inaczej się ich waży.

Z tych powodów bardzo Ci jestem obowiązany, że pojąłeś, o czem mówiłem i pisałem.

Z przyjaźnią i poważaniem rękę Twą ściskam

C. N.

Generałowi Zamoyskiemu już nic nie mów o pracy mojej od chwili, kiedy przez usta Twe odpowiedział mi, i odpowiedział także, że odpisał. Zapewne zapomniał, że wcale nie odpisał.

Bądź zdrów

C. N.

Pod nekrologiem ś. p. Bolewskiego racz zostawić C. N., jak życzyć miałeś wzgląd.

List adresowany do Br. Zaleskiego na rue St. Jacques nr 241, data stempla pocztowego: 10. IX. 1866. — Okuniew M. (1788—1851) generał i historyk, od r. 1839 kurator okręgu naukowego warsz. Ogłosił szereg dzieł z zakresu nowszej historii wojskowości, m. in. historię wojny pol.-ros. 1831 r., wcale bezstronną. — Gumiński Wł. (1828 do 1898), malarz, uczeń Kokulara i Piwarskiego. W „Roczniku" za r. 1866 umieścił Norwid cztery krótkie nekrologi, m. in. Ksawerego Bolewskiego; wszystkie są podpisane: C. N.

3. (Paryż, 21 maja 1867.)

A Monsieur J. I. Kraszewski.

„Rachunki z r. 1866", k. 289 (Kraszewski): „Poeta artysta C. N.... gdyby mu Bóg dał trochę zimniejszej krwi i praktyczności... Pomysły rzucane o d n i e c h c e n i a na papier — znakomite!... ale gdy chce co wypracować, traci siłę..." etc., etc.

Ludzie prostoduszni i pisarze obywatelscy wiedzą i wyznają, że jak człowiek dochodzi do tego, iż jest wierny na małem i że w wymiarach i możliwościach jemu poddanych jest wypełniającym i twórczym, i genialnym, — to nazywa się, iż stanął i zatrzymał się na progu, poza którym winien spotkać idące do siebie społeczeństwo.

Zapewne Kraszewski wie, jaka jest różnica między społeczeństwem a sąsiedztwem. U nas nie ma społeczeństwa, jest sąsiedztwo.

Margrabiego de N(oailles) dzieło o Henryku Walezjuszu kosztuje go 50.000 fr., których gdyby nie miał, skreśliłby równie znakomity owemu dziełu zarys tegoż dzieła w kilku kartkach, „od niechcenia" — jak nazywa Kraszewski.

U C. N. stoi płótno wielkie jak lekkomyślność krytyki Kraszewskiego, ale choć to płótno nie za pieniądze i dla kościoła, jednakowoż... „siły zbywa", — jak mówi Kraszewski.

Bogdaj w takim razie mieć nieco „krwi zimnej"... w grobie!

Te i wiele innych sądów o mnie w ojczyźnie przypominają mi jeden mój karton, który może widział gdzie Kraszewski w Galicji. Jest to N e r o n na spalonym forum oskarżający chrześcijan. Robiłem to pierwej, niż toż samo w wymiarach szerokich Niemiec powtórzył.

Z sądami tymi będzie tak, jak stało się z sądami doktora Klaczki, kiedy jeden C. N. zaprzeczył mu był wyraźnie, i stanowczo zapowiedział rozwinięcie owszem sztuki w Polsce... I stało się tak, i wypełniło się.

Ale tymczasem, ale tymczasem takie lekkomyślne krytyki ileż mi złego nie narobiły i nie narobią!? A jakaż to ścisłość tego widzenia i charakteryzowania prac C. N.!...

(Ciąg dalszy na str. 3).

JAN PLESZOWIECKI (Kraków)

Mogiła cystersów

Z proszowskiej ziemi wybiegły góry, które w Koniuszy podnoszą się najwyższym szczytem, w Ojcowie zaś, Tenczynie i Bielanach pokryły się lasem, a dalej łagodnemi stokami schodząc do poziomu Wisły, zniżają się w dolinę, która korytem rzeki zamknięta formuje półkole. Ku północy równy poziom doliny nieco się podnosi, rozkładając się w okolicę pagórkowatą, ale otwartą. W obrębie tej doliny pług rolnika pomija zielony kurhan, testamentem zgasłych pokoleń przekazany dzisiejszym tej ziemi dziedzicom. Ten, w przedhistorycznej epoce usypany wzgórek na otwartym polu, to mogiła Wandy, która swoją zagadką wciąż pociąga ku sobie umysły ciekawe.

We wschodnim tegoż półkola odcinku, zaciemniona gęstymi gajami, leży wieś Mogiła, ze swym starożytnym cysterskim klasztorem. Cenny ten romańskich pierwiastków zabytek, nietknięty zębem czasu, opierał się napadom dzikich hord Tatarów, Szwedów, Kozaków, Rakoczan; tylekroć ogniem objęty, ostał się wobec wszelkich przeciwności. Najstarszy to z zachowanych klasztor polski. Kronika i świadectwo zasług zakonu cysterskiego...

Ogromne zasługi oddali kulturze całej Europy synowie św. Benedykta, tak benedyktyni „czarni" (założeni w r. 528), jak i reformowani, czyli cystersi (r. 1098). Cała Europa była terenem ich pracy, wszędzie nieśli kulturę pracy. Przestrzenie do niczego niezdatne zamieniali w urodzajne role. Obsiewali je ziarnem co dopiero dla kultury pozyskanym i zdala sprowadzonym. Zadomowili w Polsce jarzyny i pewne gatunki zboża. Wraz z uprawą ziemi podnosili hodowlę bydła i owiec. Im to Anglia zawdzięcza przemysł tkacki, jak Szampania i Burgundia winny. Oni też Polsce wprowadzili chmielniki i winnice, które potem (na skutek zmiany gustów szlachty) prócz nazw osad nie zostawiły śladu. Upadły, gdy się szlachta zaznajomiła z „węgrzynem"... Poszczególne klasztory wykarczowały lasy i przygotowały teren dla kilkunastu wsi. Miłością pracy i miłością ku biednemu ludowi okupili swe włości, które im oddawali średniowieczni panowie. W szkołach przemysłowo-agronomicznych opackich brać zakonna nabywała wiadomości geologicznych, hydrograficznych, fizjograficznych i pedagogicznych.

Posłannictwo zakonu tkwiło — rzec by można — w paradoksie. Gardząc światem i unikając z nim stosunków, działali dla świata najwydatniej i to w formach pracy fizycznej. Ta jednak ich działalność najbardziej świecka wynikała z najgłębszych ascetycznych zasad zakonu. Na podstawie idei mniszej wyrasta kultura ekonomiczna. Ideał kontemplacji daje światu czynnego działacza. Gardzący światem przetwarza się w pioniera postępu materialnego. Pełnia ich posłannictwa polega na tym, że przeduchowili materialne usiłowanie człowieka, że stworzyli typ mistyka i zarazem gospodarza.

Także i technika ich apostołowania ma swojskie cechy. Uczyli więcej przykładem niż słowem. Tajemnica ich szybkiego i nadzwyczajnego rozwoju wyrasta z ich skrajnego ubóstwa, niezmordowanej pracy i uczynnej miłości bliźniego. Pracą zdobyty kapitał stawiali do dyspozycji ubogim i wszelkiej potrzebie, w formie jałmużny, schronisk, lecznic, szpitali i szkół.

Srogą nd wyraz ascezę cystersów, którzy noc spędzali na modlitwie, a dzień na uczynnej miłości i pracy, słodziły ciche radości, które daje pobożność, zwłaszcza do N. Marii P. W Maryjnej pobożności starych cystersów jest coś niezwykle serdecznego. W tysiącach legend, owianych czarownym urokiem poezji, odzwierciedla się duchowy świat tych zakonników; dla nich był on rzeczywistością taką samą, jak praca na roli. Ich mistyka przepojona była duchem Mariańskim. Św. Bernard, ich założyciel, rozniósł cześć Marii na cały świat i jako przekazanie swym duchowym synom zostawił.

Iwo Odrowąż w r. 1222 przenosi cystersów z Kacic do Mogiły, by stłumili skupiające się wokół mogiły Wandy pogaństwo, a rosnącemu grodowi krakowskiemu zapewnili środki rozwoju materialnego i duchowego. Gdy inne cysterskie klasztory misyjne Szpetal, Santyr, Łekno, skutecznymi metodami nawracają Prusaków i Jadźwingów, i budują pierwszą biskupią katedrę pruską i ruską, gdy inne klasztory ulepszały saliny, zawiązywały górnictwo krajowe i wszczynały przemysł metalurgiczny, — ich bracia

Z korespondencji Cypriana Norwida

(Dokończenie ze str. 2).

Naturalnie! — C. N. tylko to zrobił, że „od niechcenia rzuca na papier“ kilka linij...

Niestety. Dzieła jego nie były publikowane i płacone po sąsiedzku przez zażyłych Polaków, przez posagi kobiet rodaczek, przez litografowanych mecenasów szlachciców, — ale przez cudzoziemca nieznanego, którego nigdy autor nie widział na oczy swoje i nigdy z nim nie mówił.

Idea sztuki, której pierwej nie było, — pojęcie oryginalności, którego nikt przed nim nie rozwinął, — Poezje C. N. tom XXI Bibl(joteki) P(isarzów Polskich), — kurs jego, który rozpoczął w narodzie ocenienie ś. p. Juliusza, — i żywot lat tylu, błędnie i samotnie pędzanych po świecie, — i niejakie u obcych poszanowanie, — zasłużyły razem wzięte, aby Kraszewski wspomniał o szkicach „rzucanych od niechcenia“, życząc, aby Bóg dał „krew zimną“...

On ją dawał i dawa... płazom!

Ciekawszym byłby rozbiór i ilustracja charakteru Szołoma (w „Krakusie“))

1867 Cyprjan Norwid.

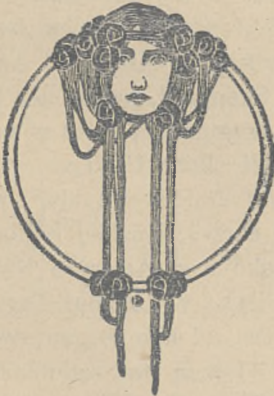
Genialny Malecki w swojej rzeczy o Słowackim jeszcze szczerzej postępuje... czy to cytując czy peryfrazując?...

Albo o Matejce?! — Zamiast wyrzucać naturalizm ogółowi, który żadnego idealnego działania nie rozumie i nie wspiera, — to Kraszewski zarzuca morzu, że wymiata morze na brzeg swój trupy rozbitków!... Jużci, jak im nie idealizują elementów, to one słuchają praw natury, nie ideału.

Od Ojczyzny nic nie miałem, albowiem miałem to jedynie, czego odebrać i odmówić mi nie można.

C. N.

List adresowany do Br. Zaleskiego, zapewne w myśli, by za jego pośrednictwem trafił do Kraszewskiego. Data ze stempla pocztowego. — Zacytowany na czele ustęp wzięty, z drobnymi opuszczeniami, ze wskazanego tomu „Rachunków“, z rozdziału „Sztuka“. Opuszczone zwroty mówią o uznaniu Kraszewskiego dla dzieł Norwida: „szkice... są prawdziwie znakomite“; ...„byłby to może najgenialniejszy ilustrator“. Zdaniem autora, artyście brak tylko wytrwałości: „Trudno — dodaje — przemóc naturę, nienawykłą przez długie lata do żadnego woli hamulca“. W tymże tomie „Rachunków“ umieścił Kraszewski dłuższy ustęp o Matejce, ostro osądzając ostatni jego obraz, „Rejtana“; nazywa go „policzkiem wymierzonym trupowi matki“. Norwid osądzał krytycznie nie tematy, ale naturę talentu Matejki-realisty (zob. „Garść listów“, str. 50 n.). Wogóle tomem „Rachunków“ nie zachwycał się Norwid, ich autora, kronikarza, równał w pasji do Szołoma w „Krakusie“, koronnego runnika i kronikarza na dworze Kraka, marnego pochlebcy, co nie prawdę, ale przypodobanie się władcy ma na względzie. Wspomniane dzieło markiza de Noailles: „Henri de Valois et la Pologne“. Paris 1867, t. I—III.



Rozrywki umysłowe Nr 25

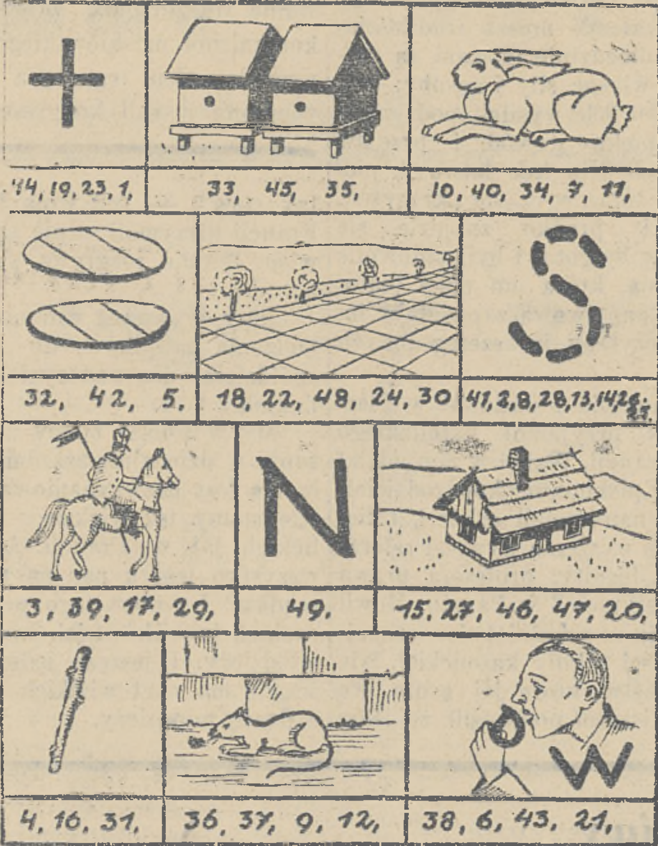
Pod kier. inż. H. Braumanowej, czł. Kl. Szar

Czwarty Konkurs Zadaniowy
(d. c.)

ZADANIE 13

RYTMOGRAF REBUSOWY

„Anerg“.



Cyfry zamienić na litery i wypisać w porządku kolejnym. Z liter, z których składają się rebusiki, złożyć zdanie i imię filozofa starożytnego.

ZADANIE 14.

URLOPOWA SZARADA Z WOROCHTY.

„Kasta“ — czł. Kl. Szar.

Po szarych dniach całorocznej mordęgi
na osłodzenie **sześć-czwór-piątej** czasów,
kto **pierwszy-trzeci**, ucieka do lasu,
trzy góry po skarb odporności tęgiej.
Osiem go **osiem-pięć** romantyzm dolin,
dziewiczość knici, dzikość krajobrazów,

i tem podbija przybysza odrazu,
skarbcem widoków czarując dowoli.
Czy w **Siódmym-drugim** będą **siedem i pięć**
kapryśne fale, czy na górskim szczycie,

przyznają, że czas zeszedł wyśmienicie
i że naprawdę **czwór wspak-jeden i pięć**.

ZADANIE 15. — REBUSIK MEDYCZNY.

N. K. Kozłowski & „Andrus“ — czł. Kl. Szar.



ZADANIE 16

SZARADY-ABECADŁO (d. c.).

Dziadek z Bakszty — czł. K. Szar.

19.

Wspak druga-czwarta i **Drugi-drugi**
jeszcze nie „czynią“ tej naszej **Całej**.
Chociaż rząd liter nie jest zbyt długi,
trzeba namysłu chwileczki małej.
Tertia-quarta culpa, [1]) żem mętnie
rzecz tę przedstawił do rozwiązania.
To też bez skargi, a nawet chętnie
przyjmę naganę lub brak uznania.

[1]) Trzecia-czwarta wina.

Niech **pierwsze-trzecie** osądzą Panie,
czyby rzecz taka wyszła z pod pióra
„**cztery-pierwszego**?“ A może stanie
w mojej obronie z miłych Pań **która**?

20.

Niebezpieczna dla wędrowca **jest trój-druga-czwarta**,
lub **Wspak pierwsza oraz czwarta**, gdy gardziel otwarta
zieje ogniem, tryska ławą na miasteczka, **sioła**.
Niebezpiecznie też gdy **Cała** w tęsknocie **Cię** woła.

Kiedyś wpadł już Pan Tadeusz **dwa tylko** dlatego,
że pospieszył na wołanie z miejsca zacisznego.
Gdybym nawet chciał Cię przestrzec, że to **dla** Cię zguba,
Quand trois-trois [2]) polecisz, gdy zawoła **luba**.

21.

Trzy-drugi konik tam nóżką grzebie,
pewnie kochanek przybył do Ciebie?
Pierwsza wspak-trzecia już zapełniona
w sercu dziewczyny: szczęśliwa ona.

A gdy się odbył ich ślub w kościele,
kochanek w domu otrzymał wiele:
pieszczoty żony, cukry, słodycze...
Zresztą wszystkiego tu nie wyliczę..

No, a po chwili pożycia długiej
miast kawy dostał... **pierwszej wspak-drugiej**:..

ZADANIE 17. — TRÓJKĄTY MAGICZNE.

John Ly — czł. Kl. Szar.

A	A	A	A	A	
A	A	A	B	■	B
E	E	K	■	N	O
O	O	■	O	R	R
R	■	R	R	S	S
	T	T	W	Z	Z

Wyrazy czytają się w kierunku poziomym i pionowym jednakowo. **Znaczenie wyrazów: I. trójkąt:** 1. jednostka specjalnej wagi, 2. bożek grecki, 3. rzeka w Niemczech, 4. karta, 5. spółgłoska; **II. trójkąt:** 1. samogłoska, 2. rzeka w Azji, 3. wrzątek, 4. pożądana w pustyni, 5. dzieło sztuki.

[2]) Mimo to trzy-trzy.



w Mogile ujarzmiali wody rozlane w topieliska, moczary i nieciecze, lub zaprzęgali do tartaków, warsztatów, młynów, browarów i t. p. Ręka ludzka Wiśle naznaczyła granice. Dłubnia przeprowadzona korytami roboczymi przez br. Franciszka zaklekotała warkotem przemysłu, osuszone niziny i poręby lasowe pod motyką i sochą mniszą zakwitły w zboża, orzechy, wiśnie i śliwy, a zwabiony tym postępem lud schronił się pod opiekuńcze skrzydła klasztoru i jego murów. Surowy lud uczył się przy rękodzielniczych warsztatach, cywilizował, chrześcijanizował i przetwarzał.

Także i Uniwersytet Jagielloński wiązał w pewnym okresie swoje dzieje z cystersami mogilskimi. Opatowi mogilskiemu Bonifacy IX i Wł. Jagiełło nadali tytuł „konserwatora“ praw Akademii Krakowskiej. Na niej też cystersi studiowali i wykładali. Jakub Paradyżanin, mnich mogilski, największa chluba w teologii wszechnicy krakowskiej, i jego współbracia okryli sławą Kraków. Sława tego ojca teologii moralnej, jego wymowy, świątobliwości, rozległej wiedzy wyrażonej wydaniem kilkudziesięciu traktatów teologicznych odbiła się dalekim echem poza murami szkoły jagiellońskiej i poruszyła umysły zachodu. Z XVII i XVIII wieku wymienić należy teologów i pisarzy religijnych: Zdzisława z Byszowia, Bartłomieja Proszowieckiego, Gabriela Markiewicza, Mikołaja Kosteckiego, ruchliwego kaznodzieję.

Prócz nauki opactwo słynęło sztuką. Z całej plejady malarzy i iluminatorów najważniejsi są: Ludwił (z XIII wieku). Jerzy z Sambora, Mikołaj Brygier. Jan Wintemberg, Arnold. W XVIII wieku mówi się o szkole muzycznej, w XVI wieku zaś o szkole malarskiej w Mogile z mistrzem Stanisławem mnichem mogilskim († 1541) najsłynniejszym tej doby malarzem, który pracował dla Zygmunta Starego, Bony, kanclerza Szydłowieckiego i biskupa Tomickiego. Mikołaj pisze pierwszą małopolską kronikę klasztorną. Drugi Mikołaj buduje i maluje w 1465 kościółek parafialny. Z innych wymienić należy Walentego astronoma, Franciszka i Wilhelma geometrę.

Opaci odgrywają wybitną rolę polityczną i kościelną: uczony Piotr z Bieczy, świątobliwy Tomasz Krakowianin. Jan Stochir bierze udział w soborze w Konstancji. Od Erazma Ciołka sufragana krakowskiego opaci zasiadają w stallach kanoników kapituły wawelskiej. Cysters Marcin Białobrzeski († 1624), późniejszy biskup kamieniecki, położył ogromne zasługi jako szermierz reformy kościelnej, mąż stanu i wpływowy polityk, godnie Polskę reprezentujący na zewnątrz. Obok Skargi i Birkowskiego jeden z największych kaznodziejów. Po jego śmierci następuje okres opatów komendataryjnych spoza zakonu, nawet ludzi świeckich, o klasztor mało się troszczących, a poprzestających nieraz na pobraniu 3/4 dochodów. Byli jednak i wśród nich ludzie zasłużeni: Wawrzyniec Goślicki opat i prymas polski. Paweł Piasecki historyk i biskup, Karol Ferdynand brat Jana Kazimierza, kardynał Dönhof, i ostatni. Jan Szyndler prezydent Rzplitej Krakowskiej. Za działalność narodową w powstaniach byli więzieni Stefan Bandurski i Jakub Owsiński.

Klasztor mogilski założył w okolicy 30 młynów; dał początek browarnictwu; w XVI wieku nawet poza Polską słynie papier z papierni mogilskiej. Tuż przed wielką wojną prowadzili jeszcze kursy rolnicze i szkołę powszechną. Niemało zasługi na polu polskiej archiwalistyki położył o. Gerard Kowalski. Po wojnie pielęgnują liturgię kościelną. Niebawem ma powstać Dom Rekolekcyjny.

Mogiła jest najstarszym i bodaj najsłynniejszym opactwem polskim, pomnikiem narodowej kultury i tradycji. Ma jednak jeszcze inną wartość. Kryje stary krucyfiks, opromieniony wieńcem legend i otoczony szczególną czcią, zwłaszcza w okresie wrześniowych pielgrzymek. Cudowny Wizerunek, dzieło z 13 wieku epoki romańskiej. Przy napadzie r. 1242 Tatarzy przerażeni obliczem surowym Chrystusa na Krzyżu — mówi legenda — uciekli. Następnego roku biskup krakowski Prandota składa wotum dziękczynne za wyzdrowienie. Przybywali tu nasi królowie: Kazimierz Wielki, Zygmuntowie Stary i August, królowa Bona i Anna Jagiellonka, Stefan Batory, Zygmunt III Waza, Michał Wiśniowiecki i Jan Kazimierz.

Jest coś uroczego i pociągającego w tym starym klasztorze! Działają wspomnienia przeszłości, którą pamięta, i Krzyż otoczony kultem. Pochłonięty przez ciszę, którą tylko szum drzew przerywa, odcinający się swymi murami od pól zielonych, stoi jak symbol i jak księga.

KUPON Nr 25.

ważny do dnia 15-go X b. r.

ŻYCIE RELIGIJNE

Przegląd spraw religijnych

Katolicyzm reaguje na życie zbiorowe w dwojaki sposób: przez wystąpienia władzy kościelnej, które są rozkazem (synody, listy pasterskie, encykliki papieskie i t. p.) i przez obrady katolickich organizacyj, które mają być rozwinięciem myśli Kościoła i dostosowaniem ich do warunków życia społecznego. Nasze czasy obfitują i w pierwsze i w drugie sposoby reagowania. Pontyfikat papieża Piusa XI wyróżnia się wielką liczbą magistralnych encyklik, które wchodzą we wszystkie niemal dziedziny życia; odbywają się co pewien czas Synody diecezjalne i plenarne; obradują konferencje Episkopatu; pojawiają się indywidualne lub zbiorowe listy pasterskie, w których Episkopat wykreśla stanowisko Kościoła wobec poszczególnych problemów.

Wreszcie dochodzą do skutku zjazdy i kongresy katolickie, jak ostatnio skargowski kongres pisarzy i działaczy katolickich w Warszawie.

HISTORIA „J. O. C." — Duże znaczenie zapewne będzie miał świeżo odbyty w Malines kongres belgijski katolików. Już sam jego temat naczelny: „katolicy wobec nowych czasów" — wskazuje, że jego organizatorom szło o to, by wszystkich katolików w Belgii ożywić wolą przetworzenia fermentującego dziś społeczeństwa w duchu Chrystusowych zasad i rozstrojowi obecnemu położyć koniec. Znając świetny stan zorganizowanego katolicyzmu belgijskiego możemy być pewni, że kongres w Malines przyniesie zamierzony skutek.

Nieco wcześniej odbył się w Genewie I zjazd „Chrześcijańskiej Młodzieży Robotniczej" (J. O. C.) z Szwajcarii. Wymaga on pary słów wyjaśnienia...

Mniej więcej przed 10 laty postanowił młody ksiądz belgijski ks. Cardijn, pociągnąć młodzież robotniczą do czynnego chrześcijaństwa i przez nią odrodzić warstwę robotniczą w duchu katolickim. Dzieło było wielkie i trudne, ale — jak dziś już można powiedzieć — udało się. Jego „J. O. C." objęła olbrzymią większość młodzieży belgijskiej. A manifestacyjny kongres w 10-lecie istnienia organizacji, odbyty z końcem sierpnia 1935 r., w Brukseli (choć zakłócony wiadomością o nagłej śmierci kochanej przez naród królowej Astrydy), dowiódł tego w całej pełni... Belgijska młodzież robotnicza jest dziś pod sztandarami katolickimi.

„J. O. C." A „AKCJA KATOLICKA". Inicjatywa Ks. Cardijn przeniknęła także do innych krajów, a parokrotnie spotkała się z najgoretszą Stolicy Apostolskiej aprobatą. Na kongres szwajcarskiej „J. O. C." kardynał, sekretarz stanu, Pacelli, nadesłał długi list, w którym oświadcza, iż Ojciec św. darzy tę organizację swoją życzliwością i uważa ją za doskonały wyraz swoich myśli o Akcji Katolickiej. Dlaczego?

„J. O. C." tworzy do pewnego stopnia własną metodę katolickiej pracy wśród robotników. Jeśli dotychczasowa metoda przeceniała moment organizacyjny, to „J.O.C." sprowadza go do właściwej roli, a na pierwszy plan wysuwa życie wewnętrzne członków. Organizacja tylko o tyle — według ideologii „J. O. C." — ma znaczenie, o ile jest „narzędziem idei", o ile zapewnia członkom pełny światopogląd i z nich czyni apostołów chrześcijaństwa.

To właśnie odpowiada naczelnym wskazaniom Ojca św., który „Akcji Katolickiej" właśnie te, „apostolskie", wyznacza cele.

KONGRES W GENEWIE. — Z Belgii „J. O. C." przyjęła się we Francji, dalej w Szwajcarii, w Holandii, w Kanadzie, w Ameryce Południowej, a nawet — jak to stwierdzono w Genewie — w Anglii.

Organizacja szwajcarska jest jeszcze młoda. Istnieje dopiero od roku i działa tylko wśród romańskich Szwajcarów. Natrafiła tu jednak na dobre przyjęcie, skoro na jej pierwszy w tym roku kongres przybyło ponad 10 tysięcy młodzieży. Obrady kongresu szwajcarskiego, wzmocnionego udziałem delegacyj zagranicznych, upłynęły na nabożeństwach, obradach i defiladach. Jedną z oryginalnych nowości, zastosowanych na tym kongresie była recytacja chórowa na temat: „Nowe państwo"... Był to dialog, w którym odpowiednio z encyklik papieskich dobrane cytaty dawały obraz nowego ustroju, ku któremu dążą katolicy.

FRANCUSKA SZKOŁA KATOLICKA. Wiadomo, jaką wagę przykłada francuski katolicyzm do sprawy szkolnictwa katolickiego... „Świeckie" szkolnictwo państwowe, wyradzające się często wprost w szkolnictwo antykatolickie, postawiło francuskich katolików wobec dylematu: albo skazanie młodzieży na szkołę bez Boga, albo stworzenie szkół katolickich. Wybrali to drugie rozwiązanie. Łatwo sobie wyobrazić, z jak wielkimi walczyć muszą trudnościami, skoro w tej dziedzinie skazani są wyłącznie na swoje własne siły i zasoby; tym bardziej trzeba ten ich wysiłek podziwiać. Stanowi bowiem piękny dowód i przejaw czystego idealizmu. Nie tak łatwo o pieniądze, zwłaszcza teraz w czasie „kryzysu". A nadto, nie tak prędko znajdzie się nauczycieli, którzy by gotowi byli zadowolić się skromną pensją, którą im płaci katolicka szkoła, gdy państwowa zapłaciłaby im lepiej i zabezpieczyłaby im szereg innych korzyści.

W połowie września obradował w Clermont XII kongres przyjaciół katolickiego szkolnictwa we Francji. Wzięli w nim udział przedstawiciele Episkopatu, kół rodzicielskich, zrzeszenia nauczycieli szkół katolickich i t. d. Wielkie wrażenie wywołał referat O. de la Briere, Jezuity, profesora prawa w katolickim „Instytucie" w Paryżu. Mówił o obecnej sytuacji w szkolnictwie europejskim i o przyszłości szkoły katolickiej. Nie krył niebezpieczeństw, które jej grożą we Francji. Ale z naciskiem podkreślił, że „Bóg tak chce", — jest wolą Bożą, by katolicy Francji utrzymali swoje szkoły. Na tym bowiem terenie rozgrywa się walka o duszę narodu.

Przyjęto szereg wniosków w sprawie pobudzenia katolików do ofiar, stworzenia spółdzielni dla nauczycielstwa szkół katolickich i t. d.

My w Polsce mamy zupełnie inne warunki w dziedzinie szkolnictwa. Nasza szkoła nie jest bezwyznaniowa, jak we Francji. Nie mamy też większej ilości szkół katolickich, jak we Francji. Ale, któż powie, że wszystko jest u nas na tym polu w porządku? I wobec tego uczmy się od francuskich katolików: ich troski o wychowanie młodzieży. I jeszcze jednego: przekonania, że nie ma zbyt wielkich ofiar, jeśli chodzi o duszę młodzieży.

Pejot.

Zdemaskowany kongres „pokoju"

Zakończony już został szumnie zapowiadany „kongres pokoju" w Brukseli i można sporządzić prowizoryczny jego bilans. Obawy wysuwane przez ugrupowania katolickie okazały się najzupełniej słuszne, celem kongresu nie było bowiem nic innego, jak usiłowanie rozszerzenia oficjalnych wpływów komunizmu moskiewskiego. Już zewnętrznym dowodem tego była wielka mapa wywieszona w sali kongresowej, gdzie kraje, które nie nadesłały delegatów, oznaczono kolorem brązowym, natomiast „apostołów pokoju" — Sowiety, Hiszpanię i Francję — białym. A bardziej jeszcze powitanie zgotowane komunistce hiszpańskiej Dolores Iriburi, osławionej „La Passionaria", która, jak donoszą z Hiszpanii, bezprzykładną swą nienawiść posuwa tak daleko, że na ulicy madryckiej rzuca się na aresztowanego zakonnika. Tej „gołąbce pokoju" kongres zarezerwował miejsce honorowe; gdy się ukazała, wzniosły się w komunistycznym powitaniu zaciśnięte w kułak pięści, zabrzmiały słowa „internacjonału", opadły maski z ukrywających swe sympatie komunistyczne „pacyfistów"... Jak w takim towarzystwie czuł się Lord Lytton, były wicekról Indyj, lub Lord Robert Cecil, jedyna okrasa tej nielicznej garstki ludzi naprawdę dobrej woli, którzy wbrew ostrzeżeniom znaleźli się w gronie ze wszech stron otaczających ich francuskich marksistów i czytelników „Humanite"? Rola ich w kongresie ograniczyła się do „robienia dobrej miny w złej grze", gdy z trybuny kongresu obelgami obrzucano duchowieństwo, wiernych i episkopat katolicki, gdy prawiono o „niebezpieczeństwie reakcji", gdy oklaskiwano przemówienia Jouhaux, męża zaufania czerwonych syndykatów, Schwernika, dyktatora sowieckich związków zawodowych, ministra Pierre Cot'a lub senatora Cachina, wobec których Louis de Brouckere i Emil Vandervelde małymi tylko byli figurami.

Jeśli jednak ktoś nadal wątpi w komunistyczne tendencje „kongresu pokojowego" niech przeczyta uchwały jego komisyj. Dowie się z nich, że *Liga Narodów* ma być wzmocnioną, ba, uczynioną nawet wszechmocną, z tym atoli „skromnym" warunkiem, że będzie *zreformowaną w myśl wskazówek Moskwy.* Nadto z przebiegu obrad, zwłaszcza komisyj związków zawodowych i rolnictwa, dowie się, że Lidze Narodów ton nadawać winny nie rządy państw, lecz międzynarodowe związki robotnicze, oczywiście po uprzednim nawróceniu ich na marksizm.

Nic dziwnego, że wszyscy ci uczestnicy kongresu, którzy nie zgadzali się z takim pojmowaniem idei pokoju, jakie im narzucali organizatorzy, zorganizowali od razu *kontrkongres, w którym wzięli udział naprawdę stuprocentowi pacyfiści.* Przemawiali tu przeważnie Anglicy i Amerykanie, m. in. Rev. Sheppard, przywódca Unii Obrony Pokoju, organizacji, która w samej Wielkiej Brytanii liczy 100 tysięcy członków, słynny pisarz Aldous Huxley, przywódca największej chrześcijańskiej organizacji miłośników pokoju w Ameryce Nevin Sayre i znany polityk z Labour Party George Lansbury. Ten ad hoc zorganizowany kongres stanął od razu pod sztandarem chrześcijaństwa. George Lansbury mówił na nim. „Nie jest rzeczą niemożliwą zachowanie pokoju. Słowa Chrystusa Pana: „pokój na ziemi" dotyczą wszystkich czasów, także czasów obecnych, pokoju jednak musimy pożądać naprawdę!" Ubolewał on, że nie mógł podczas oficjalnego kongresu R.U.P. (Rassemblement universel pour la paix — tak brzmiało urzędowe miano kongresu brukselskiego) przemawiać do wielkich mas, bowiem chrześcijanie i prawdziwi pacyfiści są marzycielami w oczach innych. Zresztą na kongresie tym jeden tylko było słychać głos, a ten nawoływał do walki lewicy z prawicą.

Niesławnie skończył się kongres rzekomego „pokoju" w Brukseli. Zdemaskowano go i publicznie stwierdzono, iż miał on tylko odegrać rolę konia trojańskiego w obozie ludzi istotnie i szczerze pragnących pokoju.



Z obcej niwy

Narody katolickie i bolszewizm

Sprawa komunizmu i następstw, które ten kierunek społeczno-polityczny z sobą niesie, stanowi dziś główny ośrodek zainteresowań w świecie. Można śmiało i bez przesady powiedzieć, że mamy do czynienia z olbrzymim nasileniem najbardziej destrukcyjnych sił w każdej dziedzinie życia zbiorowego, — największym może w historii i najszerzej rozlanym, jeśli chodzi o teren wpływów komunizmu.

Walka z komunizmem, oto — nowe zagadnienie, które przed nami nagle wyrasta do poziomu najważniejszych spraw. Lecz, jak ją prowadzić?

W Niemczech rozwinęła się ciekawa na ten temat polemika. Mianowicie w piśmie neopogańskim(!) „Reichswart" wystąpił znany polityk hr. Reventlow z tezą, że — chrześcijaństwo jest niezdolne do pokonania komunizmu, a tylko „narodowy socjalizm" może przeprowadzić zwycięską z nim rozprawę. Hr. Reventlow tezę swoją popiera tym, że komunizmowi nie mogą oprzeć się takie katolickie kraje, jak Hiszpania, Meksyk, a w swoim czasie Węgry. Następnie twierdzi hr. Reventlow, że Kościół w Hiszpanii „ułatwił" komunizmowi zdobycze, a to dlatego, że się — rzekomo — sprzymierzył z „feudalizmem" i nie starał się o posunięcie reform społecznych naprzód. „Kościół i klasztory — pisze hr. Reventlow, nie spełniły swojego społecznego obowiązku w stosunku do warstw niższych".

Trzeba te wywody brać „cum grano salis..." Kimże bowiem jest hr. Reventlow, który z tak apodyktycznymi występuje warunkami? Otóż hr. Reventlowa znamy dość dobrze. Jest to jeden z tych „junkrów", którzy po wojnie reprezentowali najbardziej w stosunku do traktatu wersalskiego nieprzejednaną nienawiść, a zwłaszcza nie mogli przeboleć utraty ziem polskich. W nienawiści do Ententy i do Polski hr. Reventlow szedł tak daleko, że tuż po wojnie zalecał współpracę z bolszewicką Rosją, a traktat w Rapallo witał jak zbawienie dla Niemiec. On to również prowadził słynne dyskusje z p. Radkiem(!) na temat współpracy Rzeszy Niemieckiej z Sowietami. Dziś p. Reventlow jest „narodowym socjalistą" i nienawidzi komunizmu. Ze względu jednak na tę swoją przeszłość powinien być ostrożniejszy w oskarżaniu chrześcijaństwa.

Odpowiada mu w „Germanii" berlińskiej znany publicysta katolicki, dr. L. Winterswyl. Pomija filobolszewickie poglądy hr. Reventlowa w przeszłości, natomiast pisze:

„Argumentacja hr. Reventlowa — pisze dr. Winterswyl — jest argumentacją zrobioną „ad hoc". Nie trzeba było żadnego „vaticinium ex eventu" (proroctwa z faktu już dokonanego), by mimo katolickości Hiszpanii już przed dziesiątkami lat wiedzieć, że wśród krajów europejskiego zachodu Hiszpania będzie najpodatniejszym terenem dla marksizmu i bolszewizmu. Było rzeczą jasną, że kraje, które konserwowały przestarzałą strukturę społeczną, będą słabymi punktami Europy wobec natarcia bolszewickiej rewolucji. Były to wogóle kraje leżące na krańcach Europy w stronę innych kontynentów: Rosja w kierunku Azji, Hiszpania ku Afryce; w podobnej sytuacji jest hiszpański Meksyk i (częściowo) Węgry. Wszystkie cztery wymienione kraje tym się szczególnie odznaczają, że się w nich utrzymała społeczna struktura średniowiecznego feudalizmu, a wraz z nią także nieznośne dla człowieka XX wieku społeczne upośledzenie...

Nie da się wprawdzie zaprzeczyć, że Kościół, ponieważ stał w pośrodku życia tych narodów (oczywiście poza Rosją), był związanym z tym feudalizmem... Ale nie da się także zaprzeczyć, że ewolucja w tych krajach poszłaby w innym kierunku, gdyby lepiej były przyjęte i przestrzegane wskazania społecznych encyklik Papieży i w ogóle główne zasady chrześcijaństwa. Zresztą nie ma nic trudniejszego, jak przeprowadzenie reformy rolnej w krajach z latyfundiami.

Nie jest ani w mocy, ani w misji Kościoła zmieniać społeczne i gospodarcze stosunki w sposób rewolucyjny... A nadto zdradza ignorancję ten, kto sądzi, że hiszpański kler; wzięty jako całość, zadowalał się korzystaniem z dobrodziejstw feudalizmu, a lud pocieszał nadzieją wyrównania w zaświatach.

Ale niech hr. Reventlow weźmie mapę Europy do ręki. Czyż to nie katolickie właśnie kraje — pomijając Niemcy — trzymają front przeciw bolszewizmowi? Czyż to nie katolickie w większości (kalwińskie w mniejszości) Węgry stanowiły pierwszy opór wtedy, kiedy Europa jeszcze o niebezpieczeństwie nie myślała? Czy nie Polska, w której jeszcze w czasie niewoli narodowość z katolicyzmem się zespoliła, stworzyła wał obronny przed Rosją sowiecką? A Austria, Włochy, Flandria?

...Wreszcie Papież!.., Jeszcze w czasie warszawskiej Nuncjatury zdobył lepsze i głębsze poznanie niebezpieczeństwa bolszewickiego, niż niejeden z europejskich polityków. To też zaklinał i zaklina narody, by je zwalczały.

Hr. Reventlow przeciwstawia narodowy socjalizm chrześcijaństwu i nacjonalizm katolicyzmowi... Chrześcijanie wiedzą, że prawdziwie przeżywane chrześcijaństwo i wiara w osobowego Boga większe stwarza możliwości w przezwyciężaniu bolszewizmu i w realizowaniu prawdziwie narodowo-niemieckiego ideału, niż je daje sama wiara w naród lub w coraz to inaczej formułowane bóstwo".